

WŁADYSŁAW ŻYGA

NA KONSPIRACYJNYM SZLAKU „KOMUNISTY” GOSLARA

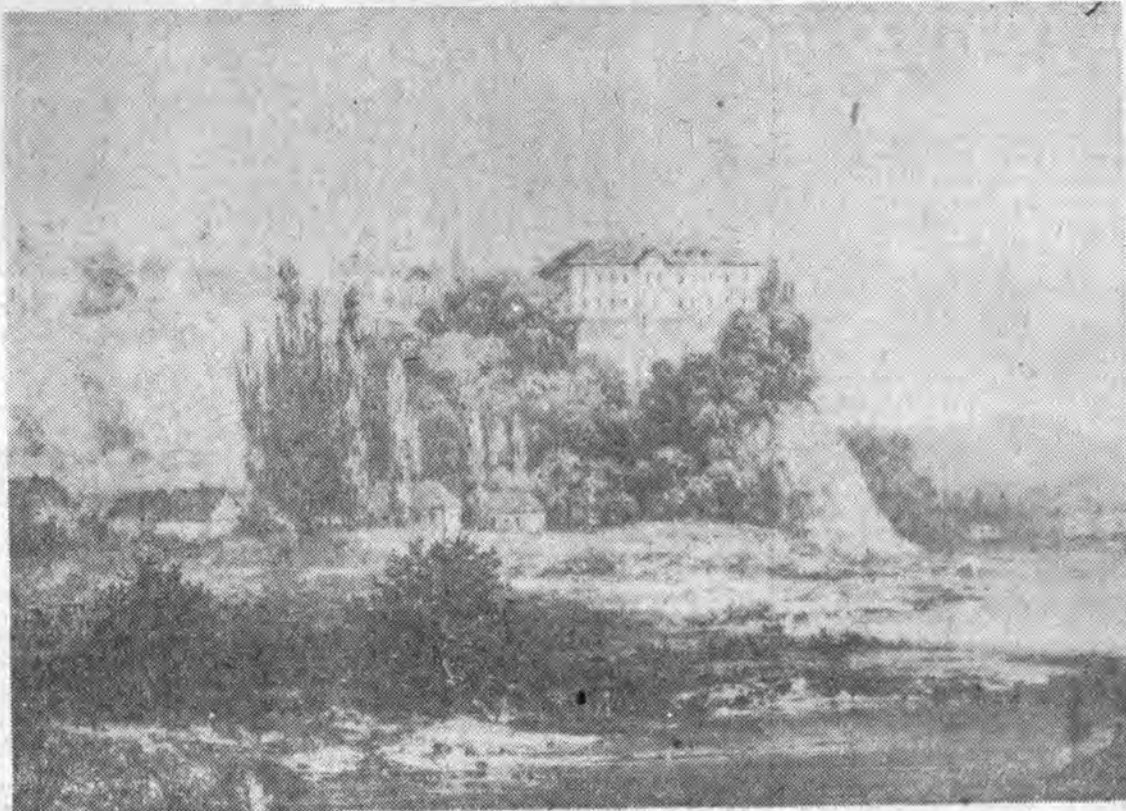
Julian Maciej Goslar był jednym z tych działaczy rewolucyjnych pierwszej połowy XIX wieku w Rzeszowskim, który zyskał miano „komunisty”. Komunistą nazywali wówczas przeciwnicy każdego, ktokolwiek głosił rewolucyjne idee odebrania szlachcie folwarów. W tym znaczeniu komunistą był zarówno Henryk Kamieński, Edward Dembowski, jak i szereg pomniejszych emisariuszy, działających w kraju przed rokiem 1846 z ramienia emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Za komunistę np. uważał Goslara Wincenty Pol, który z autora „Pieśni Janusza” zdążył się pod wpływem obcowania z galicyjskimi konserwatystami przedzielić z przeciwnikami konspiracji. Zygmunt Kaczkowski, kolega szkolny Goslara w Tarnowie, przytacza w swym pamiętniku rozmowę z Polem pochodzącą z lat 1840—1841, w której dzierżawca Kalniczy oburzał się na współpracę młodzieży z knującymi w Galicji spiski Franciszkiem Wiesiołowskim, że u niego bywa Goslar. „To komunist — mówił Pol do Kaczkowskiego — on wiąże kółka pomiędzy wami, burzy was przeciw szlachcie, uczy was teorii komunistycznych i uszech władztwa ludu, a obok tego wojuje jeszcze listami bezimiennymi, bronią bardzo szlachetną, nie ma co mówić...” „Goslary! Goslary! to prawdziwa trucizna, która nas daleko gorzej rozciąca niżeli Moskale i Niemcy (...) Ale to nie Goslary zbawia ojczyznę”.

Nie znane jest dotychczas miejsce przyjazdu na świat Juliana Goslara, choć wiadomo, że urodził się w roku 1820. Wywodził się z rodziny niemieckich kolonistów, którzy ulegli polonizacji, podobnie jak Wincenty Pol i Jan Lam. Ojciec Goslara był mandatariuszem. Ta funkcja była nie bez wpływu na znajomość stosunków społecznych i radykalizację

poglądów jego syna, który już w latach wczesnej młodości musiał zaobserwować dystans, jaki dzielił tu chłop od dworu. Rychła śmierć ojca spowodowała, że młody chłopak, pozostawiony wraz z licznym rodzeństwem na utrzymaniu matki, zmuszony był wziąć się do pracy. Po ukończeniu normalnej szkoły w Wadowicach, znalazł się Goslar w gimnazjum w Tarnowie, zarabiając równocześnie na własne utrzymanie i naukę. Gimnazjum tarnowskie wciągnęło go w atmosferę spisków, które tu organizowano pod płaszczykiem samokształceniowych kółek młodzieżowych. O nich tak pisze cytowany wyżej Kaczkowski: „prócz języka nie było w nich nic polskiego, a była tylko mowa o prawach człowieka, o usamowolnieniu wiejskiego ludu i uszczęśliwieniu ludzkości za pomocą wiecznych rewolucji aż do takiego czasu, w którym znikną ostatnie ślady jakiegokolwiek nierówności między ludźmi”.

Za uczestnictwo w politycznych kółkach młodzieży tarnowskiej wyrzucono Goslara ze szkoły. Krytyczna sytuacja, w jakiej się znalazł, jego postępowe przekonania i patriotyzm pchnęły go do pracy konspiracyjnej, rozwijanej wówczas na szeroką skalę w Galicji przez emigracyjnych demokratów. Trudno ustalić, kiedy to dokładnie nastąpiło. To pewne, że konspiracyjna działalność Goslara związana była głównie z okolicami Rzeszowa. Zanim przybył w pobliże tego miasta, agitował przy pomocy młodszego brata Jana wśród rzemieślników we Lwowie. Jak dla Dembowskiego Wojsław Wiesiołowski, tak dla Goslara Niwiska pod Kolbuszową były centralnym punktem wypadowym jego akcji konspiracyjnej.

Zdobyte w konspiracyjnych wędrówkach doświadczenie wśród ludu próbował Goslar wykorzystać w



Widok Sanoka według starego sztychu

powstańczej agitacji. O pomysłach jego, jak trafić do ludu, mówi relacja Justyny Kudelskiej: „kiedy Goslar znalazł się w nieufnej wodze wszelkich nowości Bobowej nad Wisłoką, postanowił w sprytny sposób wykorzystać dla swych celów pastucha, który miał wpięte na gromadę wiejską. Zaczęta przez tegoż mowę na temat aktualnej walki z alkoholizmem niespodziewanie skierował Goslar na mające przyjść wkrótce wielkie wydarzenia polityczne, które mogą przynieść ludowi poprawę losu”.

Z chwilą pojawienia się w Galicji Dembowskiego w roku 1845 podał się Goslar jego dyrektywom. Spotkanie z „czerwonym kasztelanem” musiało nastąpić wiosną 1845 roku podczas objazdu okolic Rzeszowa przez Dembowskiego. Z faktem tym wiąże się napisanie przez Goslara odezwy do chłopów, do czego miał go skłonić Dembowski, zrażony niepowodzeniem konspiracji wśród tutejszej szlachty. Odezwa ta, która powstała prawdopodobnie w końcu lata lub początkach jesieni 1845 roku, tak pod względem formy, stylu, jak i ideologii, wiele zawdzięczała podobnej odezwie współpracownika Wiesiołowskiego. Podobnie jak Dembowski, posłużył się w niej Goslar przystępną dla ludu formą i frazeologią ewangelicznych opowieści rodem ze „Złotej księżeczki” Piotra Ściegiennego: „Ludzie — zwracał się do chłopów — pracujecie od świtu do nocy, nic to złego, bo do pracy pan Bóg wszystkich ludzi stworzył. Ale pracujecie od świtu do nocy, a nie macie z waszej pracy. Pracujecie, a nie macie zawsze chleba na opędzenie głodu, ani zgrzebnego płótka na okrycie waszych biednych dzieci! Wy robicie chleb dla wszystkich, a sami go nie jecie, wy hodujecie owce, sporządzacie len i konopie — a nie macie czym odziać waszych członków zubożałych! Wy robicie cegły, budujecie miasta, a sami w wołem leżycie w barłogu! Wy wszyscy ludzie uciśnieni w poddaństwie żyjecie!”

Za pomocą ewangelicznych opowieści usiłuje autor odezwy przekonać chłopów, że pańszczyzna wcale nie jest dziełem Boga. Będąc lepiej od Dembowskiego obeznany ze stosunkami społeczno-politycznymi w Galicji, wyjaśnia ludowi, że nie od cesarza, który utrzymuje sojusz z klasami panującymi w Galicji, przyjdzie uwolnienie chłopów od pańszczyzny, ale od rodaków. Pragnąc zachęcić lud do obrony kraju, powołuje się Goslar na patriotyczne tradycje ludu w historii Polski, jak np. Bartosza Głowackiego, zapewniając, że od udziału w przyszłej walce o wolność uzależniona jest przyszłość jego ojczyzny: „Cóż to będzie, gdy wszystek lud polski za swoją wolność przystąpi do boju.

Wtedy nieprzyjaciel na sam widok ludowej potęgi struchleje. Tak silnymi jesteście, tak słabymi nieprzyjaciele wasi! I dlatego, jeżeli sami nie przyłożycie się, nie podniesiecie oręża na wroga — Bóg nie uwolni was z poddaństwa, bo Bóg nie może chcieć Waszego szczęścia, jeżeli Wy sami go nie chcecie”.

Aby zapewnić dobre przyjęcie emisariuszy wśród ludu porównuje ich Goslar z apostołami, od których różni się tym, że głoszą ewangelię wolności: „Ale gdy wszyscy staniecie do boju, gdy wypędzicie cudzoziemców z kraju, z bronią w rękę wróćcie do zagrody — któż wtedy, któryż szlachcic odważy się pomyśleć, by was pędzić do pańszczyzny i znowu w poddaństwo ujarzmić. Taże by on za pierwszym słowem od zbrojnego a wolnego ludu w miejscu zaraz rozsiękanym polegił (...) Ale gdy staniecie do boju, nieprzyjaciel struchleje, przywalicie go od razu, mało kto z was padnie, a wszyscy szczęśliwymi będziecie i wasze dzieci, wnukowie, i wnukowie wnuków waszych po wieczne czasy błogosławić was będą, żeście im wolność, swobodę i doczesne szczęście nadali (...) Tak, bracia kochani! Gdy wywalczycie wolność, będziecie szczęśliwymi na ziemi, a potem będą was błogosławić i za wami się modlić wszyscy potomkowie wasi po wieczne czasy. Amen!”

Obok zbieżności stylistyczno-ideowych widać w obu odezwach i różnice. U Goslara zniżył antymonarchiczny ton odezwy Dembowskiego. Znając dobrze lud galicyjski, nie chciał on burzyć doszczętnie zakorzenionego wśród chłopów mitu „dobrego cesarza”, który mógł ich obdarować ziemią. Pragnął w ten sposób zapobiec gwałtownej reakcji chłopów wobec szlachty, która by mogła przekształcić się w rewolucję socjalną. Antymonarchizm odezwy Dembowskiego ustąpił u Goslara miejsca raczej antyklerykalizmowi. Prosty język odezwy, zbliżający się często do języka ludowego, czynił ją przystępną dla chłopów.

Do kolportowania odezwy, którą przepisywał głównie w Niwiskach koło Kolbuszowej, wezwał Goslar swego brata Jana ze Lwowa, a tenże rozpowszechniał ją wraz z Borzęckim wśród chłopów, czeladzi dworskiej w okolicach Rzeszowa. Jak wskazują akta śledcze, brat Goslara czytał w Łańcuckim tę odezwę u Michała Bliży w Gluchowie, u Wojciecha Szala na Woli, u rzeźnika Trojanowskiego w Kielnarowej, u Wilkonja w Czarnej, w Widelce i w Tyczynie.

Kiedy egzemplarze odezwy wpadły w ręce władz austriackich a brat jego został aresztowany, Franciszek Wiesiołowski, przywódca spisku w Galicji, usiłujący powstanie uczynić spiskiem szlacheckim, zakazał Dembowskiemu i Goslarowi agitacji

wśród ludu. Autor odezwy, któremu już raz udało się wyrwać z rąk policji w Przemyślu, aby powtórnie nie zostać ujętym przez władze austriackie, drogą przez Kalnicę i Przełęcz Łupkowską przedostał się do Słowacji.

W Galicji zjawił się znowu w pierwszych dniach lutego 1846 r. mając zlecenie przygotować powstanie w obwodzie sanockim i samborskim. Celem powstania było wespół z mającą wkroczyć tu z Węgier partyzantką pod wodzą Bulharyna. Pierwsze swe kroki skierował Goslar do dworu Brześcińskiego w Kalnicy, gdzie na rozkaz Bulharyna miał przygotować atak na Sanok. Zasięgiem działalności objął teraz miejscowości w okolicach Sanoka, Krosna i Brzozowa. Wybuch powstania, przyspieszonego na dzień 21—22 lutego, zastał Goslara w Haczowie i w sąsiadujących z nim Wzdowie i Komborni. Tu spotkała go zupełnie niespodziewanie tragedia, której nigdy nie przewidywał. Znamy ją z kilku, sprzecznych nawet ze sobą, relacji pamiętnikarskich oraz listu samego jej bohatera pisanego do siostry z sanockiego więzienia. Kiedy pozyskanemu tu do powstania proboszczowi ks. Lechowi wręczył Goslar do odczytania w kościele powstańczą proklamację, mając nadzieję, że ksiądz z wójtem potrafią pociągnąć miejscowy lud do powstania, chłop pod wpływem doszłych do nich wieści o wybuchu rzezi w Tarnowskim rzucił się na agitatora, uważając, że jest on ich przeciwnikiem. Pobitego i okrutnie zmasakrowanego Goslara odwieziono do więzienia w Sanoku. „Potargali na mnie suknie, buty ściągnęli i pół nago wlekli po śniegu — czytamy w jego liście do siostry. — Po kilka kołód padało na plecy, a gdy upadł, wstrzymywały mnie drągi rzucone na piersi!”

Mimo dokonanej na Goslarze masakry i okrucieństw, kiedy doszła do niego wieść o haniebnej rzezi chłopów w Tarnowskim, pocieszała go myśl, że lud, wśród którego działał, nie przystąpił do rzezi: „(...) pocie szła mnie, chociaż niepewna, wiadomość, że okolice Kolbuszowej, miejsce mojego trzyletniego pobytu, wolne były od mordów”. Prosił siostrę: „co tylko wiesz, donieś mi z Hadykówka, Komborna, Niwiska i tych miejsc, gdzie w ostatnich czasach przebywał, jeżeli to prawda, że tam chłopci nie mordowali nikogo”.

W więzieniu sanockim i lwowskim powstały nieliczne poezje Goslara, z których „Chrystus na puszcy” ukazał się we Lwowie, a „Dumanie więźnia w Karmelitach” wyszło w r. 1848 w Sanoku. Część tych poezji uratował od zagłady Ferdynand



Julian
Maciej
Goslar

Obradują krzewiciele kultury muzycznej

Towarzystwo Muzyczne w Rzeszowie, obejmujące swą działalnością całe województwo, zamyka obecnie pierwszy, bodajże najtrudniejszy okres pracy. Towarzystwo powstało głównie celem niesienia pomocy fachowej Społecznym Ogniskom Muzycznym, koordynacji ich działalności oraz by ułatwić środowiskom zainteresowanym rozwojem życia muzycznego w tworzeniu odpowiednich placówek artystycznych. Dziś Towarzystwo patronuje 48 społecznym ogniskom muzycznym i ich oddziałom, znajdującym się niejednokrotnie w ośrodkach wiejskich, daleko położonych od skupisk miejskich, w których o kulturalną rozrywkę i pogłębianie wiedzy o sztuce nie jest łatwo.

Okrzepić również w tym czasie formy organizacyjne TM. Działacze tej gałęzi ruchu kulturalnego wzbogacili swe doświadczenia i znaleźli wiernych sprzymierzeńców dla swej pracy wśród członków Towarzystwa, którymi m. in. są rady społeczne SOM i rodzice dzieci uczących się w ogniskach.

Obecnie śmiało możemy powiedzieć, że nadszedł czas realizacji szerokiego założenia popularyzacji muzyki i krzewienia kultury muzycznej wśród całego społeczeństwa naszego województwa. Naturalnie te założenia mogą być w pełni realizowane tylko w zgodnym współdziałaniu wszystkich placówek artystycznych związanych z muzyką, a więc szkołami muzycznymi, Państwową Orkiestrą Symfoniczną i domami kultury.

Walnemu Zgromadzeniu delegatów Towarzystwa Muzycznego, którzy obradują dziś (sobota, 16 bm.) w Rzeszowie należą się jak najserdeczniejsze słowa: owocnej pracy!

Niech wytyczony program działania na najbliższe lata szeroko uwzględni realizację tych artykułów statutu, w których mówi się o wyjściu naprzeciw ludziom rozmiłowanym w muzyce i ułatwieniu im kontaktów ze sztuką i twórcami.

M. G.



Fot. Janusz Witowicz

ZDZISŁAW KOZIOL

SPRAWY DNIA POWSZEDNIEGO

Sensacja nie jest moją specjalnością, nie poszukiwałem przykłądów budzących zgrozę, chociaż nie jeden, z którym zetknąłem się w Przemyslu wystarczy, by napisać reportaży z dreszczykiem. Chciałem zapoznać się z podejmowanymi w tym mieście inicjatywami w zakresie pozaszkolnej opieki nad dziećmi i młodzieżą; interesowała mnie głównie współpraca Związku Harcerstwa Polskiego z instytucjami i przedsiębiorstwami.

Każdy z aspektów przeszłości tego miasta w jakimś stopniu rzutuje na współczesność, określa postawy i zachowanie ludzi. Nie uwzględniając przeszłości, zwłaszcza tej niedawnej, świeżej w pamięci, może nawet z pietyzmem pielęgnowanej, nie można wyjaśnić wielu zjawisk. Jednak aktualne stosunki społeczne uzależnione są głównie od sytuacji ekonomicznej miasta. Powojenna industrializacja ominęła w zasadzie Przemysł, a stagnacja ekonomiczna nie sprzyjała dynamicznym zmianom, jakie zachodziły w innych rejonach południowo-wschodniej Polski.

Ale nie o historii Przemysła i jego aktualnych problemach ekonomicznych i socjologicznych zamierzam pisać, chociaż bez ich uwzględnienia nie można rozpatrywać problemów związanych z wychowaniem dzieci i młodzieży. Jak już

wspomniałem, interesowałem się działalnością harcerstwa, jego współpracą ze środowiskiem, lecz fakty, z którymi się zetknąłem zmuszają mnie do szerszego potraktowania spraw dotyczących dzieci i młodzieży. Nie będzie to jednak wyczerpująca analiza, po prostu reporterskie uwagi.

Co robi przemyska młodzież? Pytanie zbyt ogólne, by na nie odpowiedzieć zwięźle. Po ukończeniu szkoły podstawowej większość, ale nie wszyscy, uczą się w szkołach średnich, część następnie studiuje, inni zaś podejmują pracę zawodową lub jej poszukują... I ta wolna młodzież, zarówno ze światłem szkoły podstawowej, jak i średniej, narażona jest na wiele klopotów wychowawczych. Nieprzypadkowo moi rozmówcy, pytani o różne sprawy, z reguły mówili o licznych przejawach moralnego zagrożenia, o przestępczych grupach, młodych prostytutkach i równie młodych stręczycielach. Ale w Przemyslu są ludzie, którym papieros w ustach chłopca czy modna fryzura dziewczyny przesłaniają ważniejsze problemy...

W gmachu sądu widziałem grupę młodych, dostatnio ubranych i wychowujących umalowanych dziewcząt. — To prostytutki — mówiono mi — przyszyły na rozprawę wytoczoną jednemu z szefów gangu. Podobno każda z nich jest zarejestrowana w

wydziale zatrudnienia, by w razie „wyspy” powiedzieć „panu władzy”, że poszukuje pracy. Niejedna już w dzieciństwie popadła w kolizję z prawem, a teraz sąd pozbawia jej władzy rodzicielskiej; jedna dwukrotnie rodzila i każdorazowo w więzieniu...

— Przed kilku dniami — mówi sędzia Wawrzukowicz — pozbawiłam władzy rodzicielskiej ojca gruźlika i zarazem alkoholika oraz matkę-prostitutkę; opiekę nad pięcioro dzieci przejął państwo. Przykład skrajnie drastyczny, lecz nie-od osobno.

Wstrząsająca jest historia pewnego chłopca. Swoim zachowaniem budził zaufanie pracowników Komendy Hufca ZHP, wykazywał się pracą społeczną, powierzano mu więc — jak na jego wiek — odpowiedzialne zadanie. Wiedziano o nim tylko tyle, że ciąży na nim wyrok sądu dla nieletnich. Alarm podniosła jedna z pracownic Komendy Hufca, której zwierzył się, że śpi w sieni, nie ma za co kupić jedzenia. W Komitecie Opieki Społecznej załatwiono mu bezpłatne bony żywnościowe, a sąd dla nieletnich wystawił mu pracę dla niego. Chłopiec pracuje zawodowo, wolne chwile poświęca harcerstwu, snuje plany na przyszłość... Wkrótce zostaje aresztowany; okazało się bowiem, że zanim trafił do harcer-

stwa, z kilkoma przygodnymi kolegami „obrobili” kioski...

W jakich okolicznościach popełnił pierwsze przestępstwo? Wywodzi się z rozbitej rodziny. Nie chciał mieszkać z ojcem i jego przyjaciółką, wyjechał do matki, lecz jej kochanek nie zgodził się na przyjęcie chłopca. Wracając do ojca ukradł 200 złotych. Ojciec niebawem odszedł do innej kobiety, a porzuconej zostawił swego syna, który — zanim się nim zaopiekowano — spał w sieni, nie miał co jeść, okradł z przygodnymi kolegami kioski.

Nie zamierzam szczegółowo analizować przyczyn, rodzących przestępczość wśród nieletnich, ani też wskazywać na rozmiary tego zjawiska. To, co wyżej napisałem, traktuję jako jeden z argumentów przemawiających za koniecznością stworzenia środowiska wychowawczego w miejscu zamieszkania, pozyskania dla pracy z dziećmi szerokiego kręgu aktywistów społecznych.

Chodzi przede wszystkim o zapobieganie moralnemu zagrożeniu młodzieży, stworzenie warunków umożliwiających zaspokojenie jej uzasadnionych potrzeb oraz aspira-

cji. Taki postulat staje się często banalnym frazesem. Zamiast ogólnych rozważań, wolę więc pisać o konkretnych inicjatywach, próbach i poszukiwaniach. U podstaw osiągnięć, o których pisałem w poprzednich artykułach, leżała znajomość potrzeb, przekonanie o celowości podjętych akcji. Powodzenie zależało od dalszych przedsięwzięć, zwiększa grono aktywistów społecznych. Z doświadczeń wiemy także, że ośrodkami dyspozycyjnym, koordynującym, jest z reguły najaktywniejsza w danym środowisku organizacja czy instytucja.

W Przemyslu takiej organizacji lub instytucji w zasadzie nie ma; działają oddzielnie, nie brak zawiści i rywalizacji, chociaż każda z nich wykazuje się pewnym dorobkiem, ale czy proporcjonalnym do możliwości i obiektywnych potrzeb? Usiłowano na przykład zająć się młodzieżą moralnie zagrożoną; przy Komitecie Opieki Społecznej utworzono szereg harcerski. Miał on swoją świetlicę, organizowano obóz letnie itp. Kryzys zrodzony głównie osobistymi sprawami dwójki ludzi z kadry położył kres tej ciekawej inicjatywie, która z biegiem czasu pozwoliłaby ująć w organizacyjne ramy część młodzieży przynoszącej niemało klopotów wychowawczych. Jest to często młodzież przedsiębiorcza, wbrew pozorom ambitna; antidotum na „dzi-



Kilka kropel deszczu upadło na chodnik i chociaż niosłem w sobie jasność sytości i alkoholu, przejęło mnie strachem przypomnienie lepkiego chłodu przemoczonych skarpet. Machinalnie, chociaż nawierzchnia ulicy była jeszcze sucha, stawiałem stopy w ten sposób, ażeby dotykały bruku zewnętrznymi krawędziami żelówek.

Magdalena wyjęła z koszyeczki nylonowy kaptur i okryła nim włosy. Jej buty były szelne. Ona chyba nigdy nie doznała tego tego bólu nóg dretwiejących od zimna i wilgoci. Moja ręka opasywała ją w pół, dotykałem jej biodra. Od czasu do czasu, z suchym szaleństwem ubrań ocierały się o siebie nasze uda, ale czułem, że dzieje się to poza świadomością dziewczyny. Jasne oświetlony, pusty tramwaj wychynał za zakrętu. Poczekałszy aż przyjedzie i przeszliśmy na drugą stronę ulicy.

Magdalena zatrzymała się. — To już tutaj — powiedziała. — Twój dom? — Tak. Sygnale gęściej kaszą drobnych krupel. Skuliłem się i pociągnąłem ją w kierunku bramy. Wysunęła się spod mojego ramienia.

— Nie idź już dalej. — Magdalena. — Musisz już wracać, nie możemy tu stać. W każdym razie ja nie mogę. — Siedzi? — Muszę już iść. — Tak. Nie jest tu zbyt miło. — Och, nie o to... gdybym mogła, zaprosiłabym cię... ale... — Rozumiem. Znamy się zaledwie kilka godzin. — Nic nie rozumiesz. Zupełnie. „Pocałuj ją... powinienś...”

Przyciągnąłem ją ku sobie. Odniosłem wrażenie, że skóra jej wypełniona jest piaskiem. Usta nasze zetknęły się w krótkim, nerwowym pocałunku. Wargi jej były szorstkie, martwe.

— Muszę już iść. — Oczywiście, oczywiście Magdalena.

Opuściłem rękę. Oparłem się plecami o ścianę. Niemal natychmiast przeniknął mnie jej głęboki chłód.

— Nie wierzysz... — W co, Magdalena... — Odwróciła się i ruszyła w głąb tunelu bramy. Krok jej był szybki, nierówny.

„Zatrzymaj ją... powinienś się z nią umówić...”

Zwolniła. Przez moment myślałem, że zawróci, ale ona pochyliła się nagle do przodu i biegiem sforsowała ostatni odcinek tunelu. Usłyszałem suchy odgłos uderzających o beton obcasów, następnie pisk zawiasów drzwi. Odwróciłem się i wyszedłem na ulicę. Deszcz odrzynał się z jej ciemnego pułapu równomiernym gestem przysięgi. Odetchnąłem z uczuciem ulgi. Podniosłem kołnierz płaszcza, nadal starałem się nie dotykać chodnika czubkami butów.

Zmierzałem w kierunku przystanku tramwajowego, nie miałem jednak chęci na powrót do nory. Wiedziałem, że usnę dopiero nad ranem; nie mając pieniędzy na jedzenie, leżałem dziś w łóżku do późnego południa.

Minąłem przystanek i skręciłem w stronę dworca. Wiatr rzucił mi w twarz garść igieł deszczu. Pochyliłem głowę, jak gdybym miał zamiar zaprawić kogoś bykiem. Ulica była zupełnie wymarła. Wszedłem w Świerczewskiego. Ognik papiesosa oświetlił na moment twarz siedzącego w bramie ciecia. Truche dalej dwie spośród kilku wysłużonych, patrolujących co noc ten teren panienek i mężczyzna w kolejańskim płaszczu podawali sobie butelkę. Ujrzałem jasno oświetlone wieżyczki dworca. Umieszczone na nich zegary wskazywały godzinę dwudziestą trzecią pięćdziesiąt. Znałem czas odjazdu wszystkich pociągów zmierzających w kierunku miasteczka, w którym mieszkali moi rodzice. Najbliższy z nich miał odjechać za niecałą godzinę.

Wszedłem do hali kas i stanąłem w jednej z kolejek. Było tu ciepło i jasno. Bliskość ludzkich ciał sarawiła mi przyjemność. Poczuliłem się wrząc w rytm ko-

lejki przesuwającej się ku okienku kasy. Niemal wierzyłem, że za godzinę znajdę się w wagonie pędzącego pociągu. Wyjąłem z kieszeni zwitek banknotów i przeliczyłem je. Okazało się, że mam jeszcze sto osiemdziesiąt złotych.

„Sto złotych dla Dziadka za komorne. Najlepiej odłóż je do kieszonki koszu!”

Wyszedłem z kolejki i ruszyłem w kierunku dworcowej restauracji. „Wypijesz kufel piwa i do domu. Dostyc na dzisiaj. Koniec. Od jutra zabierasz się do roboty. Musisz nauczyć się pracować systematycznie: dwie, trzy godziny dziennie każdego dnia. Z czasem wędzicie ci to w krew, stanie się potrzebne jak powietrze. Tylko początek będzie naprawdę trudny. Zatem od jutra! ...Ale po co odkładać to do jutra! Dlaczego nie zacząć dzisiaj!”

Roman! Było to wołanie kwartetu w składzie: Chalupka, Jurcio, Hrabia i Buła. Oprócz nich przy stoliku dźwiękającym rząd butelek i szklanek siedział jeszcze jakiś elegancko ubrany, nie znany mi mężczyzna.

— To jest pan Zygmunt — powiedział Buła — ...w podróży.

Lewą ręką sięgnąłem po butelkę z piwem, prawą wyciągnąłem do pana Zygmunta. Uchwyciły ją palce suche i mocne jak szczypec.

— Zatem — podjął Hrabia kontynuując rozpoczęty przed moim przyjściem dialog — uważa pan, że o wartości człowieka najdosadniej świadczy jego wygląd zewnętrzny. — Niezupełnie tak bym to ujął — powiedział nieznamy — raczej w ten sposób: wartość wewnętrzna człowieka kształtuje jego obraz zewnętrzny. Powiedzenie: „jak cie widzą, tak cie piszą” ma całkowitą rację bytu.

— Czy wszyscy ludzie ubrani w eleganckie garnitury są naprawdę wartościowi? Przecież oni wkładają je właśnie po to, ażeby ich dobrać p i s a n o. Znam pewnego dziekana Akademii Sztuk Plastycznych, człowieka o ogromnej wiedzy i talencie, którego pan by odpedził od progu domu jako włóczęgę, stosując wobec niego przytoczoną przed chwilą receptę. Bo widzi pan, on nie musi stwarzać pozorów wartości swojej osoby przez wzbijanie się w kosztowne ciuchy. On ją posiada w postaci autentycznej.

— Pan mówi o wyjątkach. — W tym wypadku wyjątki stanowią sól ziemi.

— Sól ziemi... — Tak.

— No dobrze... a gdyby tak jutro rano, gdy będzie się pan ubierał...

— Rano? — wtrącił się Chalupka — daję panu tysiąc złotych, jeżeli potrafi pan wyciągnąć Hrabiego z łóżka przed południem. W naszej branży, dobry panie, nie śpi się z budzikiem pod nosem.

— No dobrze, więc gdyby pan jutro w południe znalazł obok swoich starych butów nowe, w których by pan wyszedł do miasta?

— W wygodniejszych — powiedział Hrabia — gdyby Polska miała taki klimat, w którym by można było chodzić boso, robiłbym to. Dla mnie ubranie nie jest miernikiem wartości człowieka. Stanowi o niej to, co on tworzy. A to istnieje obok niego. Stosując wobec nas pięć pańskie kryterium oceny człowieka, jest pan od każdego z nas wart więcej o co najmniej kilka tysięcy złotych. Co by się jednak stało z pana wartością, gdyby tak ktoś ograbił pana z jego pięk-

kie" grupy młodzieżowe, mogłyby stać się harcerskie drużyny specjalistyczne. — Nie mamy kadry — mówiono mi — brakuje także lokali.

W niejednym powiecie trudności te przezwycięża się dzięki pomocy przedsiębiorstw. Dyrekcje przemysłowych zakładów zasiłują się podobno brakiem funduszy; na harcerską akcję letnią przekazały 1000 (tysiąc) złotych! Brakuje przede wszystkim zrozumienia. Pewien instruktor harcerski był skłonny rozpropagować w swym przedsiębiorstwie akcję „Wież”, ale uzasadniał to od polecenia dyrektora. — Mam odpowiedzialne stanowisko — mówi — nie mogę narazić się na zarzut wygłupiania się... — Nie przysyłajcie do dyrekcji — mówi inny — pisma o zwolnienie mnie do pracy społecznej w harcerstwie; jakoś sobie poradzę, przynajmniej nie będą mi wytykać zabawiania się z dziećmi.

W Przemyslu już od dawna prowadzone są rozmowy w sprawie udostępnienia szczepli wodnemu, nieczynnej przystani na Sanie, którą przy minimalnej nawet pomocy przedsiębiorstw harcerze doprowadziliby do stanu używania. Interesująca jest historia tego szczepli. Powstał żywiolowo niejako, swoją działalność zaczął od małego basenu w łaźni miejskiej, na którym uczono się pływać. Jeden z przemysłowych przyjaciół harcerzy, jeżdżąc w swoich sprawach po kraju, spełniał rolę emigranta szczepli. Trafił nawet do podsekretarza stanu w Ministerstwie Żeglugi. W efekcie instytucje z odległej Gdyni przekazały przemysłowym harcerzom bardzo wartościowy sprzęt, a Państwowa Szkoła Rybołówstwa Morskiego — umundurowanie. Nie miał natomiast kto pomóc harcerzom w przywiezieniu tego skarbu. Z wyjątkiem jednego dyrektora, każdy zasłaniał się przepisaniami, na których strażnicy stali groźny NIK. Szczęśliwy wodny grupuje również, tzw. młodzież wolna, szczególnie podatną na różnorodne destrukcyjne wpływy.

Dlatego odpowiedzialna i niełatwa praca z dziećmi i młodzieżą uchodzi w niejednym środowisku za zajęcie niepoważne? Przed wojną harcerstwo przemysłowe pozostało pod wpływem narodowej demokracji i kleru. Długo pokutowała nieufność do nowego harcerstwa oraz uprzedzenia tych, którzy pamiętali dawne ZHP. Ale chyba nie to jest przyczyną najważniejszą. Może przemysłowcy nie spotkali się z przykładami masowej, konkretnej pracy drużyn?

— Spodziewamy się zmian — mówiono mi w Komendzie Hulca — przygotowujemy poważną imprezę z okazji wreczenia sztandaru, który ufundowała nam Powiatowa Rada Przyjaciół Harcerstwa. Organizujemy zlot, wystawę prac wykonanych przez harcerzy, imprezy artystyczne. Chcemy pokazać miastu, że harcerstwo istnieje i coś robi...

Wystawa obejmie m. in. prace obrazujące efekty akcji „Wież”: gazetki o życiu zakładów, historie

przemysłowych przedsiębiorstw, kroniki drużyn. Harcerze zorganizują także wystawę produktów wytwarzanych przez zakłady, z którymi współpracują.

Nie będę szeroko rozpisywał się o przebiegu akcji „Wież”; poza nielicznymi wyjątkami, raczej nie wyszła ona poza ramy tradycyjnego szefostwa zakładów nad szkołami, ale spopularyzowanie tych skromnych osiągnięć wpłynęło na przelamanie lodów. Nie są to nadzieje bezpodstawne; Powiatowa Rada Przyjaciół Harcerstwa zaczyna przejawiać aktywność. Ostatnio harcerstwem zainteresowała się również Komisja Oświaty MRN. Ale jak już wspominałem, dotychczasowe wysiłki są niewspółmierne do potrzeb. Harcerstwo rozwija np. żywą działalność artystyczną, ale przecież wokalne zespoły, które nie mają w zasadzie gdzie ćwiczyć, nie rozwiązują problemu, obejmują tylko nieliczne grupy młodzieży. Potrzebna jest natomiast działalność rzeczywiście masowa.

Przemysł — miasto młodzieży i szkół — posiada zaledwie jedną poważniejszą placówkę młodzieżową; w zespołach Młodzieżowego Domu Kultury uczestniczy ponad 1.200 osób. Szczególnym powodzeniem cieszą się zespoły techniczne, naukowe, nauki języków obcych, a wśród dziewcząt — artystyczne. Czytelnia i świetlica MDK są zawsze przepełnione. Pełne młodzieży są także kluby i kawiarnie, czym wielu się gorszy. Za mało jest placówek dla dzieci i młodzieży. Młodzieź musi często przebywać poza domem, chociażby dlatego, że sytuacja mieszkaniowa tego miasta jest szczególnie krytyczna; przez wiele lat nie budowano domów mieszkalnych, a ludność przybywała. Młodzieź często nie ma woli i cichego kąta, by nawet lekcie odrobić.

Kto się zajmuje tymi, którzy jakichś czas muszą przebywać poza domem? Poza Młodzieżowym Domem Kultury, Międzynarodowym Klubem Książki i Prasy czy kawiarniami oraz szkołami, w których tylko sporadycznie organizowane są zajęcia pozalekcyjne, istnieje coś w rodzaju świetlicy z biblioteką i filmami. Placówkę tę prowadzi ojciec Salezjanin. Podobno uważnie przyglądają się świeckim metodom pracy z dziećmi, które dodatkowo przyciągają cukierkami. Książki zaś wypożyczają odpłatnie!

Nie dobrałem przykładów tendencyjnie... Zwróciłem uwagę na niektóre tylko problemy opieki nad dziećmi i młodzieżą; nie pisałem bezpośrednio o szkołach czy różnorodnych konfliktach nurtujących młodzież. Zresztą zagadnień, o których trzeba pisać i dyskutować, jest o wiele więcej.

ZDZISŁAW KOZIOL

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

ZIEŁONE ŚWIATŁO...!

Wybrałem się na to posiedzenie głównie dlatego, że niespodziewanie nadarzyła się okazja (pierwsza w mojej ponad dziesięcioletniej praktyce dziennikarskiej) wzięcia udziału w zebraniu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, którego część poświęcona została wyłącznie sprawom bibliotek. Wypadek dosyć rzadki, czemu zbytnio nie trzeba się dziwić. Rady narodowe zarządzające całokształtem gospodarki i kultury, muszą zajmować się wieloma problemami.

Można zaryzykować twierdzenie, że życzyliw stosunek do zagadnień kulturalnych zależy często od osobistych zainteresowań, od postawy ludzi z gromadzkiego, miejskiego czy powiatowego świecznika. Jeżeli prezes GRN bardzo rzadko odczuwa potrzebę sięgnięcia po książkę, to, jak wykazuje praktyka, nie oczekujemy od niego zrozumienia dla potrzeb biblioteki gromadzkiej?

Pojechałem więc na posiedzenie Prezydium PRN w Gorlicach, zaintrygowany nie tylko niecodziennością zjawiska (rady zajmują się od czasu do czasu raczej całokształtem spraw kultury aniżeli wybranymi zagadnieniami), ale i jego charakterem oraz prognozą, jakie z tego faktu mogą wynikać. Otóż wyodrębnienie problemu biblioteki, być może dokonane w Gorlicach przypadkowo, okazało się zabiegiem nader szczęśliwym. Wyobrażam sobie, że znacznie trudniej byłoby omówić na roboczo całość zagadnień kulturalnych, znacznie łatwiej można się było zagubić w roztrząsaniu rozmaitych niełatwych spraw (przecież nie jest tajemnicą, że w kulturze niemal chronicznie potrzebą są znacznie większe aniżeli możliwości)... Bądź co bądź skupienie uwagi wyłącznie na bibliotekach pozwoliło wnikliwie spojrzeć na ich dorobek i trudności. W pewnym sensie ułatwiło zrozumienie, przynajmniej tym spośród biorących udział w posiedzeniu, którzy dotychczas nie doceniali tych zagadnień, że biblioteki są przecież i długo chyba pozostaną podstawowymi instrumentami oddziaływania kulturalnego. Znaczenie książki — mimo gwałtownego rozwoju środków masowego przekazu ani odrobiny nie zmalało, nie zastąpi jej ani radio, ani telewizja, prasa, odczyty, pogadanki.

Dlaczego tak łatwo o tym zapomniamy?

Bo praca z książką jest mało efektywna, niewiele tu można, zwłaszcza przy naszym wyposażeniu bibliotek — zaproponować efektywnych pomysłów projektów. Podsta-

wę działalności biblioteki zawsze stanowić będzie książka, zawsze będzie biblioteka w głównej mierze pośrednikiem pomiędzy czytelnikiem (obojętnie jaki on będzie, z wyższymi studiami czy niepełną szkołą podstawową) a książką. Jakże często „nowinki” w kulturze, które pojawiają się od czasu do czasu, przestają niektórym działaczom rangę bibliotek. To co pisze nie jest bynajmniej tylko czczym wymysłem: spotykałem się nieraz z takim mniemaniem, że ważne są tylko np. Kluby, bo o klubach wszędzie się mówi, pisze, bo z nimi wiąże się tak rozległe nadzieje! Więc skoro moda na kluby (zaznaczam, że nie mam nic przeciwko tym pożytecznym placówkom), to należy na nie przeznaczyć wszystkie posiadane środki (nieraz wyrzucić się biblioteki, z ich lokalami, aby wprowadzić klub, obcina się im skąpe środki finansowe itp.). Bo biblioteka nie jest nowością, bo egzystuje skromnie w jakimś lokaliku, cicha i potrzebna, a więc pewnie niepotrzebna!

Aby być w zgodzie z prawdą muszę stanowczo podkreślić, że nie spotkałem się z takim stanowiskiem w Gorlicach. Wrecz przeciwnie, dyskusja i uchwała prezydium, dobitnie akcentują znaczenie bibliotek i zmierzają do wyraźnej poprawy ich sytuacji. A sytuacja ta nawet w takim powiecie, jak gorlicki, wykazującym duże zrozumienie dla spraw kultury, podejmującym wiele inicjatyw z tej dziedziny, nie jest najlepsza.

Rejestr kłopotów, trudności wcale tu nie mały. Rozpoczynają go — podobnie zresztą jak gdzie indziej — lokale. Ciasne, nieodpowiednie pomieszczenia nie tylko w 15 siedzibach GRN-ów, ale również w samych Gorlicach. Miejska Rada Narodowa od paru lat nie dotrzymuje swych przyrzeczeń, zmierzających do polepszenia sytuacji lokalowej biblioteki. Taka jest sytuacja w dzielnicy Zawodzie, taka w gmachu samej biblioteki powiatowej.

Na wsł gorlickiej wybudowano w ostatnich latach kilka pięknych obiektów kulturalnych, jak domy ludowe, strażaka itp. Wydawałoby się, że w lokalach tych przewidziano przywileje pomieszczenia dla bibliotek. Okazuje się, niestety, że poglądy takie wypadają zaliczyć między pobożne życzenia...

Gwoli prawdy, zauważmy, że dzieje się tak nie tylko w Gorlicach i nie tylko we wsłach, ale również w miastach powiatowych (vide nowo wznoszone obiekty w Leżajsku czy Łańcucie). Paradoks

polega na tym że w zatwierdzeniu programu użytkowego obiektów, mających pomieścić biblioteki, biorą udział rozmaici specjaliści, z wyjątkiem bibliotekarzy! Kierownik biblioteki powiatowej w Gorlicach, mgr Stanisław Gabryel powiedział mi, że w okresie 18 lat pracy w bibliotece nie zaproszono go ani razu, aby wyraził swą opinię co do trafności funkcjonalnych rozwiązań projektowanych pomieszczeń dla biblioteki. Decydują więc o założeniach użytkowych ludzie, którzy albo nie mają w ogóle zielonego pojęcia o pracy w bibliotece, albo tacy, którym tylko wydaje się, że są dobrze zorientowani. Wyniki są więc więcej niż żałosne: imponujące gmachy budowane z ogromnym nakładem środków i z nie mniejszym zapałem przez ludność, jak np. wiejski dom kultury w Łuznej, nie mają odpowiednich pomieszczeń dla biblioteki. I trudno mieć tutaj pretensje do ludzi, którzy je budowali, winić trzeba kompetentne czynniki powiatowe, z wydziałem architektury na czele, które zaakceptowały niefortunne rozwiązania.

Zagadnienie to wypłynęło na gorlickim posiedzeniu i znalazło wyraz w uchwale. Prezydium PRN w Gorlicach zobowiązuje wydział kultury do stanowczego przestrzegania zaleceń, aby w każdym, nowo wznoszonym obiekcie o charakterze społeczno-kulturalnym przewidziane były odpowiednie pomieszczenia dla biblioteki. Zalecenie to należy rozszerzyć o tyle, aby wielkość i rozplanowanie tych pomieszczeń konsultowane były z użytkownikami, to znaczy z kierownictwem biblioteki powiatowej! Nawiasem mówiąc, w identyczny sposób należałoby postępować także z zatwierdzaniem projektów sal widowiskowych, powinien być opiniować Wojewódzki Zarząd Kin i WDK, wznosi się bowiem sale tak wadliwie skonstruowane, że nie podobna na scenie ani się poruszać, ani wyświetlać filmów ze względu na bezpieczeństwo publiczności!

Jeżeli postanowienia te będą bezwzględnie egzekwowane, może nareszcie skończymy ze skandaliczną praktyką!

Drugi z kolei problem — to sprawa pieniędzy. Tak się składa, że stałe jest ich za mało. Za mało na zakup książek (co stawia powiat dopiero na piętnastym miejscu na 24 placówkach), za mało na płace dla pracowników. Biblioteki gorlickie należą do wojewódzkiej czołówki, jeżeli chodzi o kwalifikacje kadr. Ludzie są tutaj bardzo związani ze swymi placówkami, chętnie uzupełniają wykształcenie. To jest przecież jeden z czynników powodzenia, dobrych wyników w pracy. Ale ludzie ci od lat, pomimo nienagannej pracy, nie awansują... Po prostu nie ma pieniędzy na podnoszenie ich umosażeń. Na 27 bibliotek wiejskich — tylko 5 prowadzonych jest przez etatowych pracowników, 7 pozostałych (22) przez pracowników ryczałtowych (wysokość przeciętnego ryczałtu 400 zł). Z tej więc przyczyny wiele spośród tych bibliotek może być otwartych jedynie 2 razy w tygodniu, co hamuje rozwój czytelnictwa i tym też chyba należy tłumaczyć dosyć dalekie miejsce powiatu gorlickiego, jeżeli chodzi o czytelnictwo. Jeżeli średnia wojewódzka wynosi 19,9 procent czytelników (w stosunku do ilości mieszkańców) to Gorlice osiągnęły tylko 16,6 proc.

To zasadnicze problemy, wokół których toczyła się dyskusja. Z satysfakcją muszę odnotować, że nie było żadnych głosów na „nie”, żadnych prób usprawiedliwienia. Podjęto również bardzo ważną decyzję, dotyczącą przyszłości biblioteki. W związku z przewidywanym zwolnieniem budynku, zajmowanego dotychczas przez Komitet Powiatowy PZPR, Prezydium postanowiło przeznaczyć obiekt ten na siedzibę biblioteki powiatowej. Jest to z paru możliwych — najlepsze rozwiązanie, wypada więc wyrazić nadzieję, że władze gorlickie dołożą starań, aby je konsekwentnie zrealizować. Podobnie zresztą jak i pozostałe postanowienia zawarte w podjętej 28 lutego br. uchwale o rozwoju bibliotek. Nie będę chyba gołosłowny, gdy wyrażę przypuszczenie, że bibliotekarze gorlicki, osiągający dobre wyniki w organizacji konkursów czytelniczych, m. in. konkursu o „Złoty Kłos” nie będą szczędzić wysiłków, aby polepszyć wszystkie wskaźniki swej pracy, aby znaleźć się w wojewódzkiej czołówce. Serdecznie im tego życzymy!

nego garnituru i butów?... Nie wiem jaki jest pana zawód i funkcja społeczna. Być może, podobnie jak każdy z nas, jest pan twórcą w pełnym tego słowa znaczeniu...

— Czy hodowców zalicza pan do twórców w pełnym tego słowa znaczeniu?

— Ma pan krowę? — zawołał Chałupka. Zdawał się być już całkiem pijany. Buła dźgnął Chałupkę łokciem w bok. Facet otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem. Szybkim ruchem podsunął lewy rękaw marynarki. Ujrzałem złoty, piaski jak liść zegarek.

— Bo ja mam — ciągnął tym swoim nosowym głosem Chałupka — ale może sobie dzisiaj puścić gaz... mam nadzieję...

— Czas już na mnie — powiedział pan Zygmunt — miło mi było panów poznać.

— Proszę wybaczyć — powiedział Buła — on...

— Detal.

— Co?! — wrzasnął Chałupka — kto detal!

Podróżny podniósł się, znowu poczułem na ręku ucisk jego, jak gdyby z drewna utoczonych pałców.

— Za piwa zapłać przy bufcie.

— Ależ my... — zaprotestował słabo Buła.

— Drobiazg. Byli panowie moiimi gośćmi.

Uklonił się z ostentacyjną grzecznością i zaczął się przepychać ku szarżającym obok bufetu kitlom kelnerów.

— Uklony dla krow... wvki...

Buła zatkął Chałupkę usta dłonią.

— Chcesz, żeby nie zapłacił? Chcesz płacić?

Patrzyłem jak podróżny zbliża się do kelnerów i nie odwracając się wskazuje ręką w naszą stronę. Siegnąłem po ostatnią butelkę, wypełnioną do połowy. Piwo było zimne,

piłem małymi łykami, ażeby odwiec moment opróżnienia butelki.

— Wypiloby się jeszcze coś.

— Jakąś drobną wódkę.

— Już wszystko pozamykane.

— Znam jedno miejsce — powiedział Buła.

— Daleko?

— Nie bardzo.

— Babcia kłozetowa?

— Coś jakby.

— No to...

Chałupka wyjął zwitek dwudziestozłotówek. Buła wyłuskał je z jego garści i przeliczył.

— Sześćdziesiąt. Mało.

— Marta — wybełkotał Chałupka. Zdawał się trzeźwieć. — Reszta... ja...

Wsadziłem rękę do kieszeni. Bez trudu oddzieliłem banknot dwudziestozłotowy od pięćdziesięcio i stu-złotowego. Wgniotłem w dno kieszeni sto złotych na komorne i wyjąłem pięćdziesiąt.

— Ha! — zawołał Buła.

Zanim się zorientowałem, że to pomyłka, czerwony paperek tkwił w jego palcach. Chciałem sięgnąć po niego, ale otoczyło go mięso zamkniętej pięści.

— To poczekaicie.

Z uczuciem bezsilnej wściekłości patrzyłem na tył głowy przepychającego się ku wyjściu Buły. Chałupce się odbiło. Ujrzałem białe skrzepy piany w kącikach jego przybliżających się ku mnie ust.

Podniosłem się. Pociemniało mi w oczach. Poczułem jak mój brzuch łapia nudności. Krtań sparzył mł kwas zjedzonego w „Centralnej” bigosu.

— Zaraz...

Szare, pokryte kilkudniowym zarostem twarze Jurcia i Hrabiego podpiły ku mnie.

— ...zaraz wracam...

Przebiełem się przez ciżbę podróżnych tłoczących się pomiędzy sto-

likami i w drzwiach i znalazłem się w hali. Było tu mniej dymu. Postacie mijających mnie i mijanych, siedzących na ławkach i walizkach były wyraziste.

Palenie w krtań stało się lżejsze, ale wiedziałem, że torsje wrócić zaraz z podwójną siłą. Minąłem drzwi kawiarni i wszedłem do toa-

lety. W samą porę. Popękane kafle ściany i zardzewiała rura spłuczki rozmazała się. Natrafiłem na nią palcami, ujrzałem, jak przechyla się i łamie, ale nie puściłem jej. Poczułem rozsadzający krtań i głowę ból, trwało to kilka sekund i kwa-

(Ciąg dalszy na str. 6)



Rys. Jerzy Sienkiewicz

ROZMOWY O SZTUCE



KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Wzruszenie – wartością nieprzemijającą

K: — Człowiek niewykształcony nie ma trudności w wyborze książki, obrazu czy filmu, przez to, że odpowiada zdecydowanie: „to lubię, to mi się podoba”, lub zdecydowanie nie przycy. Inaczej rzecz ma się z inteligentem, w którym zbyt silnie wyrobiło się już poczucie wspólnoty ze sztuką wszystkich epok, zbyt wiele elementów z niej akcentuje, z wiełoma się nie zgadza: jeden styl jest mu bardzo bliski, inny wymaga dopiero długich przemyśleń, przez co jego odpowiedź nigdy nie będzie jednoznaczna, ani zbyt precyzyjna, kiedy zapytasz co mu się podoba, a co nie. Przyjmuje sztukę świadomie i właśnie ta świadomość chroni go w zasadzie przed popełnieniem omyłki w ocenach. Przed pochopnym sądem. Człowiek niewykształcony, tak bardzo zdecydowany w swoich jednoznacznych upodobaniach, zadowala się nader często falsyfikatem, wytworem brzydkim, nie mającym ze sztuką nic wspólnego.

C: — Kupuje makatkę i wiesz ją, bo ma pustą ścianę nad tapczanem. To przykład. Z jednej strony masz rację, że do rozumienia sztuki potrzebne jest minimum wiedzy o niej, ale ja wierzę niezłomnie, że zdolności odczuwania piękna posiadają wszyscy ludzie i to wyrównuje braki wykształcenia. Uważając, że najbardziej trwałą wartością dzieła sztuki jest prawdziwość wzruszenia artystycznego, jego intensywność, tym samym w odbiorze sztuki liczy się wzruszenie odbiorcy, które rodzi intuicję, podpowiada właściwe odczytanie pięknej książki czy dobrego obrazu.

K: — To znaczy, że jeżeli ktoś wzrusza się makatką z jeleniem lub widokiem z zachodem słońca — to też to jest prawdziwe wzruszenie, choć „dzieła” je wywołujące nie mają nic wspólnego ze sztuką?

C: — Oczywiście. To tylko kwestia obycia, którą daje przede wszystkim możliwość porównań. Gauguin malował zachody słońca, Courbet — jelenie i to były bardzo dobre obrazy; cały szereg „złoty rączek” zalewa rynek nieudolnymi imitacjami, do których wykorzystuje odwieczne tematy malarstwa — jakąż tu możliwość porównań, jeśli ilość tych ostatnich jest odwrotnie proporcjonalna do jakości?

K: — Są znakomite reprodukcje, które jakoś nie trafiają do mieszkań z jeleniami...

C: — Tak, są, tylko ich cena, to już nie równowartość litra wódki, za którą kupuje się jelenie, ale, niestety, o wiele wyższa. Zresztą i te reprodukcje ludzie kupują, tyle że niezbyt często i dalej twierdzą, że

zbyt skromny ten wybór, jakim dysponujemy.

K: — Cóż proponujesz zatem? Przecież kupowanie makatki, wazonu — ohydy wypływa z zapotrzebowania na urodę otoczenia, a więc z wewnętrznej potrzeby sztuki, wrodzonej każdemu człowiekowi. Te przedmioty nie mają żadnej wartości użytkowej; mają być ozdobą. Samo zaś zaspokajanie tymi ohydami wrodzonej potrzeby piękna jest co najmniej smutne.

C: — Ale poza tym smutkiem i fałszywą sztuką, czy nie dostrzegasz w tym zdrowego odruchu? Kupują, bo im się podoba — i to jest zasadnicza racja, z którą liczyć się trzeba. Zbyt wielkiego przeskoku wymaga umysł, by od faktycznej brzydoty doszedł do intelektualnego poznania piękna. Jedynym pocieszeniem widzę w wielkiej nietrwałości tandety oraz w cza sie, który pracuje na dobrą sztukę. A propozycja moja brzmi tak: sprzedawać dobrą grafikę tanio i właśnie w miejsce litra wódki nią zalać rynek.

K: — Czy sprzedałbyś, tak jak dawniej sprzedawali malarze, grafikę za obiad? Oczywiście, że obiad traktuje symbolicznie, bo ty ten obiad masz codziennie.

C: — Gdybym nie miał, sprzedałbym i olej za obiad, nie w tym sensie, żeby zaspokoić głód, tylko, ale żeby mieć spokojną głowę i móc malować po tym obiedzie. Oczywiście, że grafikę po 100 zł każdy z nas mógłby sprzedawać. Bo uważam, że źle to jest, iż w Polsce obrazy się tylko pokazuje, a nie są one normalnym produktem handlu.

K: — No, raczej trudno dziś o prywatne zbiory, ale wydaje mi się, że masz rację, twierdząc, iż za mały wybór i przy tym trudne wzory podsuwa się ludziom w miejsce ich ulubionych i tradycyjnych makatek. Kwestia długiego procesu wychowawczego ma tu na pewno miejsce. Poza tym, że rzecz jest smutna, czy my jednak nie przesadzamy z tym biadoleniem nad makatką? Minister Młyka przypomniał niedawno na spotkaniu z dziennikarzami historię kartek pocztowych: ministerstwo wydało wojnę kwiatkom i ptaszkom posypywanym srebrnym brokatem — WAG wypuścił tysiące znakomitych artystycznie kart imienninowych o wysmakowanych szarościach. Zbuntowany naród, przyzwyczajony do wesołej kolorystycznie fauny i flory wykpił wysmakowane szarości, a zręczni producenci-chalupnicy szybciutko rozkręcili brokatowy handel, już w cenie 10 zł za sztukę. Tradycja zwyciężyła i... po-

drożała! Minister zaleca spokój; racja — bo kwestie kształtowania gustów nie mogą być rozwiązywane zarządzeniami ekonomicznymi.

C: — To była naturalnie przesada; stary produkt należy wycofywać powoli, rozszerzając coraz bardziej różnorodność wzorów i licząc się przy tym, w granicach nieszkodliwych dla samej sztuki, ze smakiem odbiorcy. To jest najpewniejsza droga do sztuki. Każdy, kto jest wrażliwy na kolory świata, zobaczy je także w obrazie o wybitnych walorach kolorystycznych, bo w ogóle ludzie wrażliwi reagują na bardzo wiele różnorodnych bodźców.

K: — Czy nie będzie to w tym wypadku jednostronne widzenie dzieła sztuki, zawężone?

C: — Może, ale będzie na pewno pierwszym kontaktem z dziełem sztuki. Moje życie z obrazem „Dama z lasicą” polegało właśnie na wielości kontaktów; im dłużej mu się przyglądałem, tym więcej widziałem, tym bardziej przykuwał mnie do siebie i piękniał.

K: — Wyznajesz, jak widzę, zasadę fascynacji, prawie jej niezbędność w poznawaniu sztuki? Dopiero, kiedy ulegniesz urokowi obrazu, powstają twoje własne „dlaczego”?

C: — Tak. I choć może są inne ścieżki dojścia do sztuki, ale dla mnie ta jest zasadnicza. Chodzę po muzeum, nie jak po gabinecie osobliwości, bo ono nim nie jest, ale jak po przybytku, w którym rodzą się moje rozliczne pytania nad sensem sztuki. W jednym z nich zresztą, w galerii warszawskiej, odkryłem XVII-wieczny portret Soutmana lub Pota, do dziś niezidentyfikowany i chyba najpiękniejszy portret kobiety obok obrazu Leonarda w polskich zbiorach. Ta piękna, dojrzała kobieta o tajemniczym uśmiechu i polyskliwych, wilgotnych oczach nie mogła być obojętną malarzowi; rozumie go, odkąd i mój spokój zburzyła. Tak rodzą się fascynacje, zakochania w sztuce...

K: — I wierzysz, że gdyby obraz był rzeczą tak powszechną co najmniej jak książka, takie fascynacje spowodowałyby rewolucję gustów? Może i racja, bo wtedy się liczy znajomość sztuki, kiedy człowiek sam do niej dojdzie. Dlatego warto wszystkim pozwolić na kontakty ze sztuką, nawet złą sztuką, pod warunkiem, że właśnie ty — prowadzący w Biurze Wystaw Artystycznych robotę ze wszech miar wychowawczą oraz upowszechnieniową i tobie podobni ludzie zamienicie swoją wiedzę w umiejętność podsuwania propozycji odbiorcy, by umożliwić mu moment właściwego wyboru.

C: — I wracając już do samej sztuki — obowiązują tu dwa kanony: twórca, by nie odtwarzał banalnych prawd i odbiorca, by nie oglądał dzieła sztuki z punktu widzenia prostej prawdy życiowej, bo wtedy sam ją w banal przekształca. Oczywiście, by obraz był zrozumiały nie wolno artyście mówić bełkotem o rzeczach pięknych. Zawsze uważałem także, że wartością nieprzemijającą sztuki jest prawdziwe wzruszenie i mistrzostwo formy, które z nim współgra; inaczej bowiem rodzą się żenujące momenty w sztuce. Czy wyobrażasz sobie np. „Pana Tadeusza” bez piękna jego języka, stylu?

K: — Nie tylko sobie nie wyobrażam, ale właśnie w nich, a nie w treści, upatruję największe walory tego poematu...

Ale pewnie wiemy już, co nie przemija w sztuce i co ją tworzy...

C: — ...na przykład wielki zachwyt nad pięknem świata lub wielki zachwyt nad jego brzydotą...

K: — ...ale pozwól, że powiem i o tym, co jest modą, co demaskuje się samo w przemijaniu czasu i rzeczy. Pomówmy o rzeczach pustych, tworzonych bez uczucia, nędznych artystycznie, bo w końcu zalewowi tandety poświęciliśmy naszą dzisiejszą rozmowę.

C: — Moda? Od razu ci powiem, że jelenie (a przyjęliśmy tę nazwę jako umowny symbol brzydoty) nie jest modą, lecz złą tradycją. Modę w sztuce zazwyczaj dyktują prawdziwe talenty, ale, niestety, kontynuują już miernoty o zdolnościach manualnych, te pospolicie zwane „złote rączki”. Czasem zdarza się, że robią ją i ci zdolniejsi, tyle że bez przeżywania. Dlatego moda dla mnie — to pojęcie równoznaczne z płycizną intelektualną.

K: — Dlatego może we współczesnej sztuce tak często brak treści pokrywa się zręcznością formy...

C: — I dlatego woli się na ogół tych, u których widać niedostatek formy, ale czuje się, że mają do powiedzenia coś szczerego, własnego.

K: — Pewną odmianą mody jest

K: — Sumę tych artystycznych prawd zobaczymy tedy w miejsce makatki na pustej ścianie nad tapczanem, a courbetowskiego jelenia w miejsce jeleni „złoty rączek”. Potrzebne jest do tego ponadto rozerwanie błędnego koła przyczyn i skutków, sprowadzających się w zasa-



PIETER CLAESZ SOUTMAN — Portret kobiety

snobizm. Czy ci, którzy mają bogate księgozbiory, ale nie czytane i reprodukcje legerów i picassów, których nie rozumieją, zasługują według ciebie na potępienie?

C: — Dla mnie osobiście, to jest nie do przyjęcia, ale potępiać też nie lubię...

K: — To dobrze, bo ja chyba usprawiedliwię te pasje powierzchniowe, które są dziś coraz powszechniejsze z racji wyższego standardu życiowego społeczeństwa. A nuż kiedyś przyjdzie oświecenie posiadającym obrazem i przeczytaną książką? Nie sądzisz, że sam klimat estetycznego otoczenia pomaga w rozumieniu rzeczy pięknych? Właściwie każdy odbiorca sztuki jest pożądanym. Nawet snob.

C: — Pod warunkiem takiego nawrócenia, to i ja nie mam nic przeciwko niemu. A hasło, które bym zalansował — to sprzedawać wszystko, co jest twórczością artystów autentycznych, bo to jest prawda! A ja zawsze dążyłem w sztuce do umiejętności mówienia o mojej prawdzie...

Rozmawiali:

CEZARIUSZ KOTOWICZ

i KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA



CEZARIUSZ KOTOWICZ — „Portret kobiety z bukietem kwiatów

FOT. A. HADALA

ZOFIA STAPOR

Po co tyle słów

znam pewną dziewczynę
siada koło mnie nie tylko koło mnie
wystarczy gest ręki

to nie na nią czekasz
zaciskając tęsknotę w dłoniach
trawa i gwiazdy
są we mnie jak delikatny dreszcz

oczy masz nabijane gwiazdami
trzymasz w dłoni niebo jak motyla
którego może nie ma



KULTURA NA ŚWIECIE

OCZEKIWANI W 100 KRAJACH

Pod takim tytułem czasopismo „Sowietskaja Kultura” zamieszcza interesującą informację na temat stosunków kulturalnych ZSRR z zagranicą. Poza bliskimi kontaktami w tej dziedzinie z krajami socjalistycznymi, największymi „widowniami” dla radzieckiej sztuki są: Francja, Anglia, USA, Japonia i Finlandia. Umocniana się więzy kulturalne z krajami rozwijającymi się. Artysty radzieccy najczęściej odwiedzają takie kraje, jak Gwinea, Mali, Kongo-Brazzaville, ZRA, Algieria, Indie, Afganistan, Meksyk, Brazylia, Argentyna i Chile.

W 1966 r. na tournée zagraniczne wyjedzie 75 dużych zespołów artystycznych. Zaprezentują one swe programy na wszystkich kontynentach. Przeszło połowa tych występów przypada na kraje Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Nowością w tym roku będzie zwiększona liczba młodych zespołów, które rozpoczynają dopiero swą międzynarodową karierę.

W 38 krajach otwartych zostanie 26 ekspozycji plastycznych (nie licząc sepek wystaw, organizowanych przez towarzystwa przyjaźni itp.). Ponad 100 kompozytorów weźmie udział w różnego rodzaju zagranicznych imprezach muzycznych oraz w akcji odczytowej o radzieckiej muzyce. Prawie 600 działaczy kultury i sztuki odwiedzi wiele krajów z prelekcjami o sztuce radzieckiej.

Filmy radzieckie przedstawione zostaną w br. na 37 festiwalach międzynarodowych.

Ogółem w tym roku przed światowym audytorium zademonstruje swe umiejętności we wszystkich dziedzinach kultury i sztuki ok. 11 tys. artystów Kraju Rad.

NOWA SZTUKA EDUARDO DE FILIPPO

Nowa sztuka Eduardo de Filippo nosi tytuł „Cylinder” i opowiada o perypetiach dwóch zakochanych par żyjących w wielkiej nodzy. Młodzi znaleźli się wobec perspektywy wyrzucenia z mieszkania z powodu od dawna zaległego czynszu. Wreszcie wpadli na pomysł, który miał ich uwolnić od kłopotów finansowych. Jedną z młodych kobiet — urodziwa Rita zaczęła w drzwiach mieszkania przechodzących mężczyzn... Kiedy nagabnięty zgadzał się na propozycję, młoda kobieta z góry inkasowała należność, a następnie głośno płacząc opowiadała, że zbiera pieniądze na pogrzeb męża, który leży martwy w sąsiednim pokoju. W tej sytuacji większość amatorów przygody, rezygnując ze zwrotu pieniędzy, brała czym pre-

dziej nogi za pas. Ale oto zjawia się wytworny pan w cylindrze — Atilio, którego bynajmniej nie peszy opowiedziana historija. Ponadto, bogacz nie liczy się z pieniędzmi. Zaczyna się swoista „licytacja”, do której stopniowo włączają się wszyscy lokatorzy, so więcej — jej własny mąż...

„Sztuka” — czytamy w dzienniku „Unita” — jest zjadliwą satyrą na burżuazyjne społeczeństwo. Ukazuje charakterystyczny obraz świata, w którym pieniądź jest miernikiem wszelkich wartości, gdzie ludzka godność i uczucie są takim samym towarem, jak każdy inny”.

FELLINI ZNOW PRZY PRACY

Jak słychać, po porażce swego ostatniego filmu „Giulietta i duchy”, Fellini zamierza powrócić do aktualnej tematyki społecznej.

Aby spotkać się z Fellinim nie trzeba było tym razem umawiać się telefonicznie — pisze współpracownik „Paese Sera”. Jako przepustka służyło ogłoszenie zamieszczone w gazetach rzymskich: „Wszyscy chętni (oprócz dzieci) mogą przyjść od 17 do 19.30 do biura filmowego na Via Nazionale 36. Należy przynieść ze sobą fotografie. Fellini zamierza „umieścić na orbicie filmowej” nowych aktorów.

— Ostateczną decyzję w sprawie zaangażowania podejme, kiedy przegląd będzie zakończony — mówi Fellini. — Rozmowa toczy się w jego gabinecie, podczas gdy w sąsiednim pokoju defilują przed wielkim stołem młodzieńcy i dziewczęta z wszystkich dzielnic Rzymu.

— Mój nowy film mieć będzie tylko jednego głównego bohatera — mężczyźni. Być może zagra go Marcello Mastroianni, jeżeli nie przeszkodzi mu praca w teatrze. Nazwisko Mastroianniego nie odgrzywa tu jednak decydującego znaczenia. W rolach kobiecych wystąpią same debiutantki.

— Jaki będzie tytuł filmu? — Nie wiem, nie pomyślałem jeszcze o tytule. Gdybym go już miał, znacznie łatwiej byłoby mi konstruować fabułę.

Nie jest to pierwszy przypadek, kiedy Fellini rozpoczyna pracę nad filmem nie napisawszy nawet jednego wiersza scenariusza. Pod koniec rozmowy z nim udaje się jednak ustalić co następuje: 1) film zrealizowany będzie w Rzymie i wejdą doń epizody, które nakręcone zostaną w Nowym Jorku, Amsterdamie, Kolonii, a być może — w jednym z miast Grecji, 2) film będzie opowiadał o życiu całego miasta.

— Wybrałem Rzym — stwierdza Fellini — dlatego, że dobrze go znam, z

równym powodzeniem mogłoby to być inne wielkie miasto, np. Nowy Jork czy Paryż. Będzie filmować na taśmie czarno-białej, a oprawę muzyczną przygotuje Nino Rota.

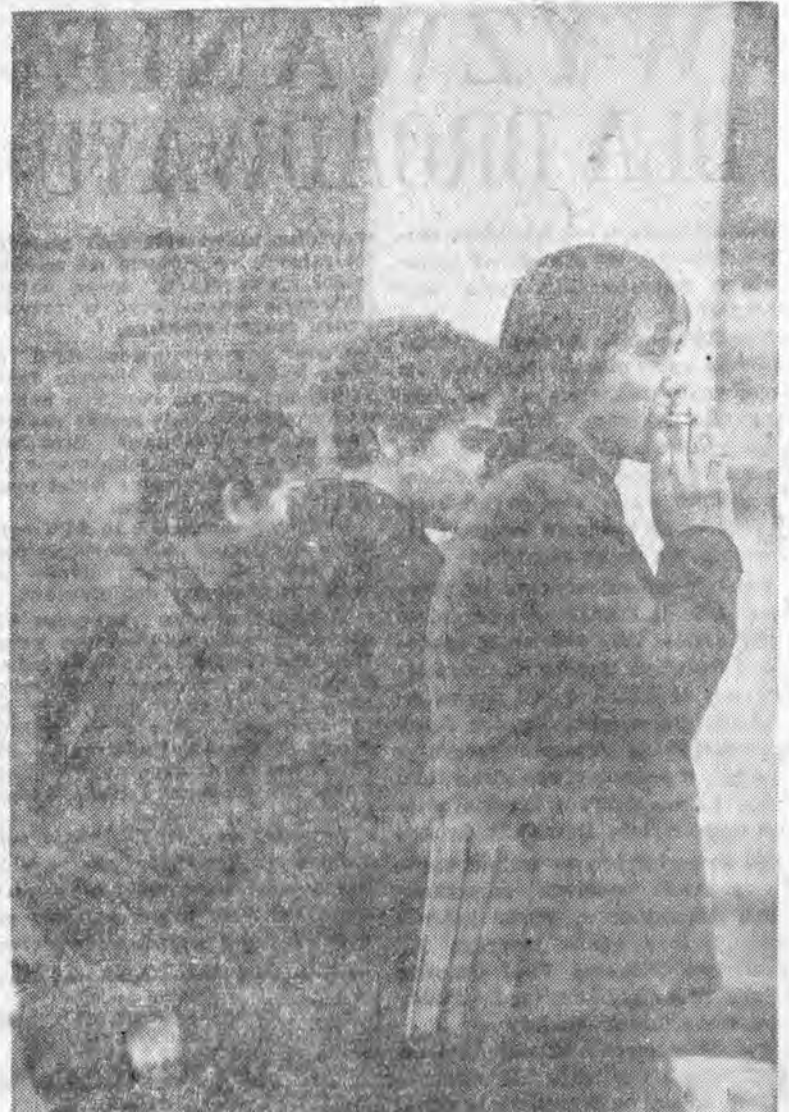
— Kiedy zaczyna krażyć wokół mnie tłum ludzi — mówi Fellini — wydaje mi się, że już rozpoczęła się prawdziwa praca. Niestety, to tylko wrażenie: to tak, jakby ruszać w w podróz pociągiem wiedzac, że szyny ułożone są tylko na odcinku 50 metrów.... (KI-PAP)

Kronika festiwalowa

Przeglądy zespołów dziecięcych

W organizowanym w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych przeglądzie zespołów artystycznych w województwie rzeszowskim jako pierwsze wystąpią zespoły dziecięce. Przeglądy środowiskowe rozpoczynają się 16 bm., tj. w sobotę, i trwać będą przez cały kwiecień, a okręgowe w maju. Imprezę wojewódzką, w której wystąpią najlepsze zespoły, Komitet Organizacyjny zamierza zorganizować w I dekadzie czerwca w ramach obchodów Międzynarodowego Dnia Dziecka. Odbędzie się ona w Zakładowym Domu Kultury WSK Mielec.

Do przeglądu zgłosiło się 59 zespołów, w tym 14 teatralnych, 3 kukielkowe, 9 tanecznych i 33 instrumentalno-wokalne. Najwięcej zespołów posiadają zakłady pracy branży handlowej, metalowcy i górnicy. (stanski)



Rodzimi beatlesi

CAF — CHMIELOWSKI

Dzieła Henryka Sienkiewicza w 43 językach

5 maja — 15 listopada
obchody rocznic sienkiewiczowskich

Polskim pisarzem, którego dzieła mają w okresie powojennym największą liczbę przekładów, jest Henryk Sienkiewicz. Bibliografia Biblioteki Narodowej notuje pod nazwiskiem autora „Trylogii” prawie 350 pozycji w 43 językach. Sama tylko powieść „Quo vadis” wydana już była za granicą blisko 160 razy w kilkudziesięciu językach.

Obok angielskiego, francuskiego, rosyjskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, portugalskiego, włoskiego i innych języków europejskich, dzieła polskiego pisarza tłumaczone były m. in. na arabski, azerski, bengalski, chiński, czuwaski, japoński, perski, turecki.

Wśród nowel Sienkiewicza największą liczbę przekładów miały: „Janko muzykant”, „Hania”, „Za chlebem”, „Latarnik”. W ponad 20 językach ukazały się wielotomowe wybory utworów naszego pisarza, zawierające nie tylko jego nowele, lecz także powieści: „Kryzys”, „Quo vadis”, „W pustyni i w puszczy”, trylogia.

Dzieła Sienkiewicza przekładali tacy znani w Polsce i zasłużyli dla naszej literatury tłumacze, jak Juliusz Benesic (na chorwacki), Teodor Holban (na rumuński), Stefan Ilczew (na bułgarski), Józef Lichtenbaum (na hebrajski), Istvan Meszaros (na węgierski), Józef Niemczyński (na rosyjski), Maria Prigara (na ukraiński), Erich Sojka (na czeski), Helena Tełgowa (na czeski), France Vodnik (na słoweński), Yoshitada Umeda (na japoński).

4 maja miały 120 rocznica urodzin Henryka Sienkiewicza. Od tego dnia rozpoczynają się w całym kraju

obchody ku czci wielkiego pisarza, które trwać będą do dnia 15 listopada br., w którym przypada 50 rocznica jego śmierci.

Uroczystości sienkiewiczowskie rozpoczną się 5 maja od złożenia wieńców przed pomnikami pisarza w kraju i w Vevey w Szwajcarii. Również w maju otwarte zostanie Muzeum Sienkiewicza w Obłęgorku. Drugie muzeum pamiątek po wielkim pisarzu otwarte będzie w październiku w Woli Okrzejskiej, miejscu jego urodzenia.

Twórczości autora trylogii poświęcone będą sesje naukowe i popularnonaukowe. Sesje o zasięgu międzynarodowym organizuje w listopadzie w Warszawie Instytut Badań Literackich PAN.

Wśród licznych wystaw obrazujących twórczość Sienkiewicza, najbardziej okazałą przygotowuje Muzeum Literatury w Warszawie. Wystawa otwarta zostanie 15 listopada.

Ciekawą ekspozycję dzieł Sienkiewicza w tłumaczeniach na języki obce organizuje polski Penclub.

W Szczytnie odsłonięty zostanie, ufundowany ze składek społeczeństwa, pomnik Henryka Sienkiewicza według projektu Jacka Pugeta.

Do obchodów ku czci wielkiego pisarza przygotowują się literaci, wydawcy, księgarze, placówki kulturalne i muzyczne w całym kraju.

Przez cały czas trwania obchodów rocznic sienkiewiczowskich odbywać się będą w całym kraju odczyty, dyskusje, wieczory poświęcone autorowi „W pustyni i w puszczy”.

Obchody zakończy uroczystość złożenia wieńców na grobie Henryka Sienkiewicza w Katedrze Warszawskiej w dniu 15 listopada.

Na konspiracyjnym szlaku „komunisty” Goslara

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Władysław Czaplicki w książce „Rzeź w Horozanie” i „Pamiętniku więźnia stanu”, pozostał resztę, zachowaną w rękopisie, przedrukował ostatnio monografista Goslara, Marian Tyrowicz. Sylwetka ideowa Goslara-poety odbija jednakże wyraźnie od Goslara-emisarjusza. Wiodącym w jego odezwie ładunek rewolucyjny zastąpiony został w poezji religijnym mistycyzmem, elementami mesjanistycznymi. Obok momentów autobiograficznych znalazło tu echo oddziaływanie konwencji poetyckich polskiego romantyzmu. Ow autobiografizm związany z przeżyciami 1846 r. oraz zawarta w nich martyrologia każą wiersze Goslara umieścić obok powstałych także pod wpływem rabacji „Skarg Jeremiego” Kornela Ujejskiego i „Pieśni otchłani” Zygmunta Kaczkowskiego.

Wyrok śmierci otrzymany przez Goslara w roku 1847 w wyniku apelacji zmniejszono mu na 18 lat więzienia. Odsiadany w Spielbergu karę przerwała amnestia 1848 r. Wypuszczony z więzienia Goslar, witały entuzjastycznie w drodze do kraju, zanim dotarł do Lwowa, zawadził o Wiedeń. Akcesoria jego przejazdu przez Rzeszów zanotował Antoni Mańkowski: „Amnestionowani więźniowie codziennie przejeżdżali przez Rzeszów (...) Zaczepialiśmy prawie każdy wóz pocztowy, czy nie jedzie Goslar, aż na koniec trafiliśmy w istocie na ten, w którym on jechał. Biegliśmy więc aż na Nowe Miasto, gdzie przed urzędem pocztowym wóz się zatrzymał. Po serdecznym przywitaniu posłaliśmy razem do miasta, gdzie nam pokupował szczyryki i książeczki, w których polecił prowadzić dzienniki (...) Nacieszyszy się z nami kilka go-

dzin w Rzeszowie, odjechał wtedy do Lwowa (...).

Po krótkim pobycie w tym mieście w sierpniu 1848 r. znowu przejeżdżał przez Rzeszów do Wiednia, gdzie działał aż do upadku rewolucji w Austrii. W świetle powyższych faktów wątpliwe wydaje się być zanotowane przez Kaczkowskiego pojawienie się Goslara w jego Berzeżnicy, o którym pisze w pamiętniku.

W roku 1849 wyrokiem sądu wojaskowego skazano Goslara na pięć lat ciężkiego więzienia za propagandę rewolucyjną w Austrii. Nie przeszedł jednak agitacji nawet po wypuszczeniu z więzienia w Kufsteinie (1850), prowadząc ją tym razem wśród chłopów tyrolskich. Wreszcie ujęty za szerzenie propagandy rewolucyjnej w Galicji skazany został na śmierć i stracony w Wiedniu w roku 1852.

NOWE KSIĄZKI

„Żywi i umarli”

Lata trzydzieste naszego wieku, okres ścierających się prądów społecznych, budzącej się świadomości warstw najniższych w wielkiej metropolii — Londynie, jest tem książki Patricka White jednego z największych prozaików australijskich. Bohaterami powieści jest rodzeństwo Elyot i Eden, wychowani w atmosferze intelektualnych i społecznych snobizmów reprezentujących dwie różne postawy życiowe. Elyot wychowany na „dżentelmena” nie potrafił uporać się z narastającymi konfliktami współczesności. Eden wiążąc swe życie z przedstawicielem środowiska robotniczego potrafi przelamać bierność i po śmierci swego ukochanego wyjeżdża do walczącej Hiszpanii.

Autor poprzez atmosferę domu rodzinnego bohaterów ukazuje unikalnie świat lat trzydziestych — środowisko ludzi, którzy nie pozostają bierni wobec narastających przemian i tych, którzy nie znajdując w nowych czasach swego miejsca „umierają” za życia.

Patrick White Państwowy Instytut Wydawniczy, przełożyła Maria Skłobniewska, cena 25 zł.

„30 nowel Jacka Londona”

Dobrze się stało, że Wydawnictwo „Iskry” wznowiło wybór nowel Jacka Londona, którego dokonał Kazimierz Piotrowski. Klasyczne opowiadania o ludziach i zwierzętach o walce człowieka z przyrodą cieszą się wciąż u nas wielką popularnością, mimo że w ojczyźnie autora obserwuje się zanik poczytności jego dzieł.

W związku z tym warto przypomnieć, że w ubiegłym roku w Nowym Jorku ukazał się obszerny wybór korespondencji Jacka Londona. Dla nas szczególnie interesującym jest fakt, że głównym inspiratorem twórczych poczynań Londona był Conrad.

London na początku swej kariery pisarskiej wysłał do Conrada list, w którym wyraża swój podziw dla niego: „Nigdy do Pana nie pisałem, nawet nie pomyślałem o tym, żeby do

Pana napisać. Ale pański utwór pt. „Zwycięstwo” wstrząsnął mną...”.

Jack London „30 nowel Jacka Londona” Iskry, cena 30 złotych.

„Studia z teorii i historii koloru”

W pracy tej dr. Maria Rzepińska autor liczyh książek z zakresu historii sztuki oraz dziedziny artystycznej, zajmuje się problematyką barwy w sztuce.

Pierwsze studium porusza sprawy kolorów w aspekcie fizjologii i psychologii oraz przedstawia niektóre teorie artystyczne. W drugim studium autorka omawia trudności, które stają przed historykiem sztuki gdy zajdzie potrzeba analizy i interpretacji problemów koloru. Dwa pozostałe przenoszą konkretną problematykę teoretyczną w pewne epoki historyczne: „Kolor antyku grecko-rzymskim” i drugi: „Splendor sztuk średniowiecza”. Autorka dysponuje bogatym materiałem źródłowym i dokonuje analizy zabytków.

Książka przeznaczona jest nie tylko dla artystów i historyków sztuki, ale również może być pomocna psychologom, fizykom i wszystkim tym, którzy interesują się sprawami koloru.

Maria Rzepińska Wydawnictwo Literackie Kraków, cena 35 zł.

„Portret z diamentów”

Autor książki Józef Lenart w czasie swojego pobytu na Syberii nie ograniczył się tylko do rozmowy z niezwykłymi ludźmi, którzy w bardzo surowym klimacie budują miasta, uprawiają warzywne ogródki, poszukują minerałów. Ich przeżycia, pragnienia, niezwykłe przygody oraz codzienne życie, autor dzielił wraz z nimi i może właśnie dlatego „Portret z diamentów” jest książką bardzo prawdziwą o „tajemniczym” Bajkale, tajdze, niedźwiedziach i sobolach, ale przede wszystkim o ludziach, którzy marzą o ucztwiecznieniu Syberii.

Józef Lenart, Iskry, seria „Naokoło świata”, cena 15 zł.

WYZWANIE DLA BROADWAYU

Jak się wydaje, bez wielkiego rozgłosu dokonuje się prawdziwa rewolucja w amerykańskim życiu teatralnym.

Niezadowolony z czysto komercyjnego nastawienia teatrów na Broadwayu datuje się nie od dziś. Wyparcie utworów dramatycznych przez musicale nie jest tyle sprawą smaku publiczności, ile wynikiem schlebienia nie zawsze wybrednym gustom — co żadnemu teatrowi jeszcze nie wyszło na zdrowie.

Ostatnio niezadowolony to przybrało jednak konkretne i organizacyjne formy. Aby przełamać monopol Broadwayu utworzono przedsiębiorstwo spółdzielcze pod nazwą American Playwrights Theatre (teatr amerykańskich dramatopisarzy), z siedzibą w uniwersytecie stanu Ohio i pod kierownictwem dyrektora tegoż uniwersytetu Dawida H. Ayersa.

Ta nowa inicjatywa zyskała szybko poparcie czołwki amerykańskich dramaturgów, wśród których figurują tacy znani autorzy, jak Tennessee Williams, Paul Osborne, Elmer Rice, William Inge, Paddy Chayefsky, Robert Anderson.

Po pierwszych niepowodzeniach APT odniosło w maju ub. roku poważny sukces wystawiając w Civic Theatre w Dallas nową sztukę Andersona pt. „The Days Between” w reżyserii Paula Bakera (znanego w USA ze swych oryginalnych inscenizacji szekspirowskich oraz z niedawnego tournée po Europie). Po tej premierze sztuka ta będzie grana na scenach 120 teatrów amerykańskich.

Bardzo interesujące są zasady, na jakich operła się działalność APT. Każdy teatr pragnący uczestniczyć w APT musi wpłacić składkę roczną, w wysokości 50 dolarów. Zanim jakiś utwór zostanie włączony do programu APT, co najmniej 50 teatrów musi zgłosić gotowość jego wystawienia. Przyjmując dany utwór do swego repertuaru, każdy teatr zapewnia autorowi honorarium — minimum w wysokości 200 dolarów. W ten sposób autor otrzymuje co najmniej 10 tys. dolarów za swe dzieło. Jeśli wpływy kasowe teatrów są większe, to pewien odsetek przypada również autorowi.

Istotne w całej sprawie jest to, że w takim systemie każdy teatr prowincjonalny w USA może sobie pozwolić na „nabycie” dobrej sztuki za 200 dolarów. W ten sposób również ulega radykalnej zmianie sytuacja widzów: skazani dotychczas w 90 proc. tylko na musical (zaś w

wypadku uniwersyteckich zespołów teatralnych — głównie na sztuki o treści historycznej), mogą obecnie faktycznie uczestniczyć w rozwoju teatru amerykańskiego.

Utwór przyjęty przez APT nie może być grany w Nowym Jorku, zanim nie uplynie rok jego kariery na „prowincji” — ta zasada ma całkowicie wyeliminować Broadway. Dopiero po upływie roku utwór może być zakupiony przez jakieś towarzystwo na Broadwayu.

Godzi się zaznaczyć, że APT ogranicza się tylko do wystawiania utworów znanych dramaturgów — nie zamierza lansować debiutantów.

W bieżącym roku program APT obejmuje nie opublikowaną sztukę Williama Inge pt. „Not Quite a Love Song” („Nie zupełnie pieśń miłosna”). Przypomnijmy, że W. Inge jest autorem sztuk „Picnic” — za którą otrzymał nagrodę Pulitzera — „Bus Stop” (zeksplorowane obie) i „Come Back, Little Sheba” („Wróć, kropeczko!”).

Kierownictwo APT zdaje sobie sprawę, że Broadway jeszcze długo będzie miał przewagę, ale już pierwsze kroki APT świadczą, że ten monopol został poważnie nadwyrężony.



STANISŁAW GIEROWSKI —
nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego w Krośnie

RYS. J. SIENKIEWICZ

POLONICA

Różewicz i Mrozek
po raz pierwszy w Rumunii

BUKARESZT

Rumuński miesięcznik „Secolul XX” („Wiek XX”) zamieścił przekład „Naszej małej stabilizacji” Tadeusza Różewicza oraz „Karola” Sławomira Mroźka. Jest to pierwsze tłumaczenie dzieł tych pisarzy w Rumunii.

W tym samym numerze miesięcznik drukuje obszerny artykuł znanego rumuńskiego tłumacza literatury polskiej, Ion Petrica, o polskiej dramaturgii współczesnej. Artykuł poświęcony jest niemal w całości twórczości Różewicza i Mroźka.

Po Dekadzie Filmów Polskich
w Algierii

ALGIER

Wszystkie bez wyjątku pisma algierskie, a także radiotelewizja oraz kronika filmowa poświęciły wiele miejsca niedawnej Dekadzie Filmów Polskich w Algierii. Wiele pism podkreśla, że żaden jeszcze przegląd filmowy w Algierii nie spotkał się z tak dużym zainteresowaniem i wysoką oceną. Również liczba widzów, którzy obejrzeli polskie filmy w czasie „Dekady” przekracza znacznie wyniki osiągnięte podczas poprzednich imprez tego typu, poświęconych kinematografii różnych krajów. Przyczynił się do tego w znacznym stopniu pobyt delegacji polskich filmowców, którzy prezentowali niektóre filmy.

„Zmierzył świat” Odolewskiego
po francusku

PARYŻ

Paryski Dom Wydawniczy „Editions du seuil” przygotowuje francuskie tłumaczenie powieści Włodzimierza Odolewskiego pt. „Zmierzył świat”. Fragment tej książki zamieścił marcowy numer przeglądu literacko-politycznego „Les temps modernes”, którego kierownikiem jest Jean Paul Sartre. Zamieszczony fragment nosi tytuł „Exodus”.

Książka ukaże się w tłumaczeniu Joanny Kici i Jacqueline Trabuc.

Węgry czczą pamięć
Władysława Reymonta

BUDAPEST

Budapeszteńskie czasopismo literackie „Nadwiniag” zamieściło wspomnienie pióra wybitnego znawcy literatury polskiej, Janosa Elberta, poświęcone pamięci Władysława Reymonta — w związku z niedawnym obchodem 40-leciem śmierci pisarza. J. Elbert kreśli obraz drogi twórczej Reymonta, opowiada o jego życiu i szeroko omawia największe dzieła pisarza — „Chłopów”.

„List z Warszawy” — pod takim tytułem „Nadwiniag” wydrukowało obszerny artykuł Niny Kiraly o życiu teatralnym naszej stolicy. Autorka omawia nie tylko główne kierunki rozwoju teatru w Polsce, ale charakteryzuje również poszczególne sceny, przedstawienia, analizuje problemy inscenizacji, grę aktorów itp.

Polskie tkaniny w Rzymie

RZYM

W Palazzo Dell'Esposizioni w Rzymie otwarta zostanie 3 maja wystawa tkanin znanej polskiej artystki Ady Kierzkowskiej. Ekspozycja, organizowana z inicjatywą władz miejskich Rzymu, obejmie 21 gobelinów A. Kierzkowskiej, jednej z czołowych naszych przedstawicielek w dziedzinie tkactwa artystycznego. W najbliższym czasie artystka wyjeżdża do Włoch w związku z przygotowaniem do wystawy.

Młodzi pianiści
na Międzynarodowym Konkursie
w Holandii

UTRECHT

W odbywającym się w Utrechcie Międzynarodowym Konkursie Młodych Wykonawców Muzyki Współczesnej bierze udział grupa naszych artystów. Są to

pianiści: Marta Gozdecka, Andrzej Kopiczynski, Zygmunt Krauze i Marek Mielicki. W Utrechcie bawi również znany kompozytor Andrzej Dobrowolski, zaproszony na konkurs jako obserwator. Warto przypomnieć, że w ub. roku na tym samym konkursie polscy muzycy odnieśli poważny sukces. Krakowski zespół MW2 i wspomniany Zygmunt Krauze zdobyli nagrody i wyróżnienia.

O książce Bobrownickiej
— w prasie czechosłowackiej

PRAGA

Znakomity teatrolog, prof. Jan Kopecky, omawia obszernie w tygodniku czechosłowackim „Kulturna tvorba” pracę Marii Bobrownickiej „Dramat czeski i słowacki na scenach polskich”.

(K — PAP)

NA DWORCU

(Ciąg dalszy ze str. 3)

draty kafli na powrót ustawiły się w ścianę. Przytknąłem do niej czoło. Była chłodna i gładka jak lód. „Przecież wiedziałeś, że spotkasz ich na dworcu. Po to tu szedłeś... że Buła zna tę melinę, w której można kupić wodkę”.

Wyjąłem chusteczkę i otarłem usta. Otworzyłem drzwi. Tuż przed sobą znalazłem twarz babki kiozetowej. Przechyliła głowę, chciała zobaczyć wewnątrz kabiny, ale dopóki stałem w drzwiach, było to niemożliwe. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem dwadzieścia złotych. Wzięła je ze zrzędiwym mruknięciem. Teraz już nie musiała czekać na moje usunięcie się, żeby wiedzieć, jaka robota ją czeka.

U wyjścia z toalety była umywalka i lustro. Spojrzałem na swoją twarz. Była popielato-siną. Czoło postrzępione kosmykami zlepionych potem włosów, policzki w drobnych punkcikach zarostu.

Spróbowałem się uśmiechnąć, i wargi rozciągnęły się w dwa fioletowe pasy.

„To od światła jarzeniówki...”

Ciągle się uśmiechałem nie mogąc oderwać wzroku od tej obcej i równocześnie mojej twarzy. I nagle wydało mi się, że jestem blisko odkrycia istoty działania mechanizmu zmuszającego mnie do szukania kontaktów z Chałupką i Hrabia... tymi wszystkimi podobnymi do nich, dla których właściwie żywiłem niechęć. Ze nie decyduje tu potrzeba picia w ich towarzystwie.

Odkreśliłem kran, nabrałem wody w dłoń i zanurzyłem w niej

twarz. Strużka wody sforsowała za porę kołnierzyka i przedostała się za koszulę. Jej płótno przylgnęło do skóry i przeniknęła mnie chłód, jak od metalu noża ukrytego na pierś.

Przetarłem oczy, osuszyłem ręce o włosy. Z lustra spojrzała na mnie ta sama, powleczone wapnem jarzeniówki twarz. Już się nie uśmiechała. Ale i tym razem nie spodobał mi się jej wyraz. Jednak mimo to nie uczyniłem owego małego już „kroku”, żeby dokonać rozpoczętego przed chwilą „marszu” ku odkryciu istoty jednego z nieznanym mi, powodujących mną mechanizmów. Zakreśliłem kran i odwróciłem się od lustra. Ktoś kaszał za moim plecami, chrypliwie, z uporem. W szybkie okna ujrzałem odbicie szeregu drzwi kabin toalety i przycięte plecy kaszającego.

„Jakiego odkrycia chcesz dokonać po pijanemu... w toalecie... o pierwszej w nocy...?”

Ktoś otworzył wyjściowe drzwi, prześlizgnął się obok wchodzącego mężczyzny z walizką i znalazłem na powrót w hali dworca.

„Jesteś przekonany, że nie odstąpię od swojej głównej zasady nieoklamywania samego siebie? Jeżeli zacznieś to robić... wszystkich, nie samego siebie... nie siebie...”

Już na mnie czekali. Stali przed restauracją. Hrabia, Jurcio i Buła z wypchanymi kieszeniami płaszcza. Gdy mnie ujrzałem, odwrócili się i zaczęli iść w kierunku wyjścia. Podążyłem za nimi.

BOGDAN LOEBL

Fragment powieści „Katarakta”.

Opowiadanie folklorystyczne Marusza

Paliły się wkoło ludzkie osady, a dzicy sprawcy pożarów na kudłaty konicach pad naszą wieś podjeżdżali. Kto żył, krył się, gdzie potrafił.

Chciała się skryć przed strasznymi świdrami i Marusza, najpiękniejsza w okolicy krasawica. Ale któryś chan tatarski spostrzegł, jak z chałupy uciekała. Zapaliła na to cudo w biegu — żądza ślepią Tatarzyna. Podciął konia i w galopie cisnął za dziewczyną arkan. Aż tu stał się wielki cud! Dziewczyna składając ręce — w źródło bijące się przemieniała. Wytrysty ze źródła naraz wielkie wody i na Tatarów goniących bałwanami się zwały.

To jak szczyry się topili, jak koty ich konie niosło z Polski precz! Zatrzymało ich w napadzie na niszczoną często przez nich naszą ziemię. Płądować dalej bezkarnie niedobitkom się nie dało.

Zródło jak serce człowieka do dzisiaj bez przerwy bije. Wody w źródle nawet w największe posuchy nie brakuje. A nazwane jest imieniem onej czystej ofiarnicy, co się za kraj w ostatnim momencie życia poświęciła.

Opowiedział Aleksander Kot z Husowa, pow. Łańcut,
opracował WŁADYSŁAW DŁUGOSZ

Rys. Barbara Smoczeńska

